

EMISARIUSZ POLITYCZNY

M.W. Po przyjeździe do Warszawy nawiązał pan współpracę z Biurem Informacji i Propagandy. Jak do tego doszło i czym był BiP?

J.K. W czerwcu 1941 roku, to znaczy dwa miesiące po aresztowaniu Cyrankiewicza i po wyjeździe Bora-Komorowskiego z Krakowa do Warszawy, też się postanowiłem ewakuować – po prostu bałem się siedzieć w Krakowie. Kontakt na Warszawę, na Rzepeckiego, który był szefem Biura Informacji i Propagandy Związku Walki Zbrojnej, dał mi Mierzwa. Zameldowałem się, a Rzepecki mówi, że wie o mnie wszystko. Też kazał mi pokazać ręce, a jeszcze wtedy miałem zgrubienia i czerwone szramy. – Umieścimy pana na wsi, w jakimś majątku, i tam pan przetrzyma wojnę. Zaprotestowałem: chcę pracować! No dobrze. I przydzielił mnie do BiP, do Makowieckiego.

Makowiecki był szefem podziemnej informacji politycznej. Zapytał mnie, co chcę robić. Odpowiedziałem, że to, co mi każe. – Komendant chce wiedzieć, jaka jest sytuacja, jakie są nastroje. Pana wszyscy znają z poprzednich misji, będzie pan w kontakcie z przywódcami politycznymi. No i będzie pan nam mówił, co oni myślą, jaki jest ich stosunek do nas, do walki zbrojnej, do komendanta. Taka była pierwsza jego propozycja. Odpowiedziałem: naturalnie.

Ale, pamiętam to dokładnie, gdy idąc do domu, pomyślałem sobie: to delikatna misja – mam rozmawiać z ważnymi przywódcami i z tych rozmów mam składać tajny raport. Poczekalem dzień, wracam do Makowieckiego i mówię:

– Zastanowiłem się i nie będę tego robił.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę ich narażać. Mam jeszcze te szramy na rękach i jeżeli mnie aresztują, zgubię wszystkich, z którymi mam kontakt. Nie mogę tego robić.

Makowiecki na to:

– Dobrze, niech pan robi przegląd prasy, ale przegląd prasy dzikiej.

M.W. Co to znaczy?

J.K. Delegatura Rządu, wszystkie cztery stronnictwa i ZWZ mieli swoją prasę, ale poza tym były setki, setki pism, pisemek, które należały do najprzeróżniejszych grup i organizacji. – Nie będzie pan chodził po lokalach – mówi Makowiecki – my to wszystko zbieramy, a pan będzie pisał raporty. W ten sposób komendant będzie się dowiadywał, co się dzieje, jakie są nastroje w społeczeństwie.

Zgodziłem się bez wahania i robiłem to przez jakieś trzy, cztery, może pięć tygodni. Łączniczka prowadziła mnie do lokalu, tam nożem podważała się parkietową podłogę, odskakiwała jakaś deszczułka i w skrytce między podłogą a betonem schowane były dziesiątki, może nawet setki pism. Czytałem, notowałem tytuł, datę i o czym tam piszą. Oczywiście byłem zainteresowany tylko sprawami politycznymi.

M.W. Jaki się z tego wyłaniał obraz?

J.K. Okropny! Do dziś nie mogę tego zapomnieć. Mieliśmy setki tych podziemnych pism, było ich więcej niż wszystkich razem przed wojną. To była jakaś lawina. Większość to jakieś bzdury, głupstwa, mieszanina socjalizmu, syndykalizmu, anarchizmu, nacjonalizmu, Polska od morza do morza, jacyś trzej prorocy, trzej mocarze spotkają się na Wiśle. Pisali to ludzie zupełnie nieprzygotowani, grafomani.

I wszyscy oskarżają się o pesymizm, o brak patriotyzmu. Oczywiście o przynależność do konspiracji żydowskiej, masońskiej, Bóg wie co jeszcze. Męczyłem się jakieś cztery, pięć tygodni, wreszcie umówiłem się z Makowieckim i mówię:

– Panie prezesie, ja już nie mogę tego wytrzymać nerwowo. To nie ma sensu. Za te bzdury, za te głupstwa giną łączniczki, redaktorzy, drukarze. Nie mogę tego robić. Musiałbym iść na uniwersytet i przejść jakieś kursy tradycji politycznej w Polsce, żeby się w ogóle zorientować, o co chodzi.

Makowiecki na to:

– Dobrze, rozumiem pana. Zna pan angielski, będzie pan robił nasłuch BBC. Amerykanie robią za dużo propagandy, nasze społeczeństwo im nie wierzy, ale Anglicy nie kłamią.

M.W. I te raporty z nasłuchu BBC – jak rozumiem – składał pan Makowieckiemu, a on przekazywał je przywódcom podziemia?

J.K. Komu je dawał – nie wiem. Mnie mówił, że komendant chce być poinformowany o wszystkim.

M.W. Komendant, czyli Grot-Rowecki?

J.K. Tak. No i robiłem to do lata 1942 roku. Po wojnie przekonałem się, że Anglicy rzeczywiście są w propagandzie najlepsi. Anglicy nie kłamią, tylko mówią wyłącznie to, co służy celom propagandy. Nie można ich więc złapać na kłamstwie, chociaż robią propagandę. Amerykanie i inni przesadzają, kłamią, wymyślają jakieś fakty, co wcześniej czy później zostaje ujawnione i kompromituje ich. Anglicy są wspaniali w tajnej robocie.

M.W. Dlaczego pan skończył współpracę z BIP?

J.K. W pewnym momencie Makowiecki pyta mnie, czy znam nazwisko Knoll. Mówię, że nie znam człowieka, ale przed wojną był taki polski ambasador w Niemczech, którego po zamachu majowym usunięto ze służby dyplomatycznej... – On się o pana dowiedział – mówi – i chciałby się z panem zobaczyć. I dał mi kontakt na Romana Knolla. Knoll mieszkał koło sejmu, nie pamiętam już przy jakiej ulicy, pod swoim nazwiskiem, w swoim dawnym mieszkaniu, małym, ale bardzo wytwornie urządzonej. On nie

chodził, on płaszał po tym mieszkaniu. Lubił mówić po niemiecku, po francusku. Był takim kameralnym dyplomatą.

Zaczął mnie wypytywać, co robię. Powiedziałem mu. I w pewnym momencie wybucha: on jest kierownikiem wydziału polityki zagranicznej w Delegaturze Rządu¹, ja robię nasłuchy i składam raporty. To jest właśnie materiał, który powinien dostawać, ale tego mu nie przysyłają. Takie są stosunki w naszym podziemiu.

Mówię od razu: – Panie ambasadorze, będę panu dawał te raporty. Zostałem uprzedzony, że w Delegaturze Rządu wszyscy mówią, że jak się tylko wojna skończy, Knoll zostanie pełniącym obowiązki ministra spraw zagranicznych. Więc chodziłem koło Knolla, żeby mieć dobre stosunki z przyszłym ministrem.

I teraz misja. Pewnego razu przychodzę do niego – a on wita mnie po francusku, no to mu po francusku odpowiadam (potem rozmawiamy już po polsku):

– Dowiedziałem się o pana przeszłości. Czy nie nęci pana, żeby pojechać jeszcze raz? Tym razem do Londynu?

– Jeżeli mi każą, to pojedę, ale nikt mi takiego rozkazu nie wydał.

– Proszę pana, przecież to jest skandal! Jestem kierownikiem wydziału spraw zagranicznych, przecież to powinien być departament, a nie wydział w Delegaturze Rządu. Powinienem być dyrektorem departamentu spraw zagranicznych, co odpowiadałoby pozycji ministra spraw zagranicznych. Otóż o tym powinien wiedzieć generał Sikorski. Ale ja nie mam możliwości mu się poskarżyć. Nie chcę używać polityków ani delegata rządu. Jeżeli pan pojedzie, załatwi pan tę sprawę.

Odpowiadam: naturalnie. A więc to od Knolla wyszła inicjatywa.

Mija parę dni, znów do niego przychodzę. Knoll mówi: delegat rządu chce się z panem spotkać. Wyznaczyli mi datę. W jego mieszkaniu.

¹ W pierwszym okresie okupacji Roman Knoll był doradcą delegata rządu do spraw zagranicznych, a do czerwca 1943 referentem zagranicznym w Biurze Prezydyjalnym Delegatury Rządu. „Polecenie premiera dotyczące zorganizowania Departamentu Spraw Zagranicznych przywiózł do kraju emisariusz Jerzy Lerski („Jur”), zrzucony w lutym 1943 r. Przekazał je delegatowi rządu w marcu, a następnie wręczył nominację Knollowi. Ostatecznie w maju powstała sekcja [Spraw Zagranicznych], a nie departament” (W. Grabowski, *Polska tajna administracja cywilna 1940–1945*, Warszawa 2003, s. 279).

Przyszedł Ratajski. Cyryl Ratajski przed wojną był prezydentem Poznania, gruby, chory, zmęczony. Zdziwiłem się, że ten ociężały człowiek może działać. Wyłożył kawę na ławę:

– Wszystko o panu wiemy, wszystko się panu udaje. Stronnictwa zgadzają się, żeby pojechał pan do Londynu. Czy pan pojedzie?

– Naturalnie.

– Bardzo dobrze. Spotkamy się jeszcze raz.

I na tym się skończyło.

Minęło parę dni i łączniczka przekazuje mi polecenie: mam przyjść do Knolla. Znow w jego mieszkaniu spotykam się z delegatem rządu. Ratajski mówi:

– Przede wszystkim chciałbym, żeby pan przekazał moje wiadomości. Otóż powie pan generałowi Sikorskiemu, że jestem rozczarowany. Uczciwie pracuję, nie jestem politykiem, uważam się za najwyższego rangą administratora, urzędnika. Zawsze byłem urzędnikiem, także jako prezydent Poznania. Mam tutaj ogromne trudności. Wszystkie partie polityczne mają do mnie jakieś pretensje. Wszyscy chcą więcej pieniędzy. A ja mogę wydawać tylko tyle, ile dostaję. Wszyscy chcą jakichś wyróżnień ode mnie, a ja nie mogę się mieszać w sprawy polityczne. Powie pan więc generałowi, że jestem rozczarowany. Otóż dowiedziałem się, nie od generała, tylko od stronnictw mi niechętnych, że generał, jako premier, postanowił mnie zwolnić. To jest dla mnie wielka przykrość, to jest niesprawiedliwość. Druga skarga: delegat rządu ma polecenie tworzenia tak zwanej administracji zastępczej. Powołuje starostów, wojewodów, prezydentów miast, którzy obejmą władzę po wojnie. Są z tym trudności. Powie pan generałowi: komendant Armii Krajowej robi to samo, bez upoważnienia. W terenie zdarza się, że moi ludzie, którzy chcą objąć stanowisko i informują o tym lokalny oddział Armii Krajowej, dowiadują się, że jest już człowiek wyznaczony przez komendanta Armii Krajowej. Te sprawy trzeba uporządkować. Komendant Armii Krajowej musi wiedzieć, że tworzenie administracji zastępczej należy do delegata rządu, a nie do wojska. Do wojska należą sprawy wojskowe, a nie administracyjne.

Po paru dniach zaczęły się spotkania z przywódcami politycznymi. Socjaliści – to oczywiście Pużak. Narodowcy – Dębski, Jasiukowicz. Stronnictwo

Ludowe – Kwieciński. Dawali mi polecenia do swoich ludzi i do rządu, a niektórzy inne polecenia do swoich ludzi w Londynie, inne do rządu, a jeszcze inne osobiście do generała Sikorskiego. Kwieciński jeszcze inaczej: i do rządu, i do Sikorskiego, i do profesora Kota.

Pięćdziesiąt lat po wojnie jeszcze to czuję: Polacy kochają komplikować swoje relacje. Jest tu jakaś skłonność do intryg, do gmatwania sytuacji, do hysterii. To leży jakoś w naturze Polaków. Czy to skutek rozbiorów? Naszej nieszczęsnej historii? Nie wiem.

Wtedy odniosłem wrażenie, że ludzie najszlachetniejsi, najdzielniejsi, gdy zostaną aresztowani, pod najokropniejszymi torturami nie wydadzą innych. Umierali w torturach, a nie wydali. Ale na wolności intrygowali jeden przeciwko drugiemu, oskarżali się o najokropniejsze rzeczy, a ja miałem to raportować organizacjom albo rządowi.

M.W. Czy to, co pan nazywa poleceniami, to były rzeczywiście polecenia, czy też prośby lub oceny sytuacji politycznej?

J.K. Zależnie od ludzi, od środowiska. Minęło pięćdziesiąt lat. Wielu rzeczy już nie pamiętam.

M.W. Czym się różniły ich stanowiska?

J.K. Dębski i Jasiukowicz, czyli Stronnictwo Narodowe, oskarżali WRN, czyli socjalistów, że robią front ludowy. Rzeczywiście socjaliści współpracowali ze Stronnictwem Ludowym. Pużak miał doskonałe stosunki z Korbońskim. Socjaliści z kolei oskarżali Stronnictwo Narodowe – i słusznie, bo najprawdopodobniej takie były właśnie nadzieje wszystkich narodowców – że teraz się różnią, ale jak nastanie niepodległość, to się połączą. Tylko że jedna strona i druga strona robiły rzeczy niebezpieczne dla Polski.

Stronnictwo Ludowe nie dało mi właściwie żadnych zadań. Miałem tylko powiedzieć profesorowi Kotowi i generałowi, że się zgadzają, pochwalają, że generał jest opatrnościowym mężem stanu, oni zgodzą się na wszystko, czego generał od nich zażąda.

M.W. Czy przedstawiciele stronnictw mieli jakieś poglądy na to, jak będzie wyglądała sytuacja w Europie po wojnie? Czy może zakładali, że wszystko wróci do stanu sprzed 1 września 1939 roku?

J.K. Jak się skończy wojna, kiedy się skończy, na jakich warunkach – tego ze mną nie omawiali. Ale nikt nie miał wątpliwości, że Niemcy zostaną pokonane, Polska będzie niepodległym państwem. Niebezpieczeństwem dla Polski po zakończeniu wojny będzie Związek Radziecki. Wszyscy ci ludzie, z którymi miałem kontakty, bali się Związku Radzieckiego. Już wtedy istniało to komunistyczne podziemie. Już wtedy – w 1942 roku, w październiku – nie było w porozumieniu stronnictw Pużaka, byli polscy socjaliści. Pużak mówił, że wyszedł z porozumienia stronnictw, bo oni chcieli, żeby w porozumieniu stronnictw był i WRN, i polscy socjaliści². – A polscy socjaliści to agenci sowieccy, komuniści – mówił. – Ja nie mogę siedzieć z nimi przy jednym stole, nie ufam im. Albo oni, albo ja. Trzeba ich wyrzucić poza nawias życia politycznego. Socjalistów reprezentuje wyłącznie WRN, a on jest szefem WRN.

M.W. Polscy socjaliści, czyli...

J.K. ...Dubois, Próchnik. Kontaktowałem się z nimi poprzez ich kuriera, nazywał się Strzelecki. Pytałem go, czy to możliwe, żeby oni dobrowolnie wyszli z porozumienia stronnictw, dając wolną rękę Pużakowi. Odpowiedział, że to wykluczone. Pużak nie nadaje się do niczego, jest zaciekłym wrogiem Rosji, nie myśli politycznie. A sytuacja jest tego rodzaju, że współpraca z Rosją jest konieczna. Jakkolwiek skończy się ta wojna, Rosja będzie wielką potęgą. I tej potędze nie należy się narażać.

M.W. Jaką pan stosował technikę, żeby to wszystko zapamiętać, niczego nie pomylić?

² Socjaliści z WRN wycofali swojego przedstawiciela z Politycznego Komitetu Porozumiewawczego we wrześniu 1941, ponieważ, jak twierdzili, PKP „został zepchnięty do roli przybudówki przy Delegacie Rządu i stracił wszelki samodzielny charakter”; po tym fakcie PKP na miejsce WRN przyjęła delegata partii Polscy Socjaliści Adama Próchnika. Kazimierz Pużak jako przedstawiciel WRN wrócił do PKP (wtedy już Krajowej Reprezentacji Politycznej) w marcu 1943.

J.K. Słuchałem, a potem mówiłem: teraz powtórzę. I powtarzałem, a oni mnie poprawiali. Chodziłem ulicami i mówiłem do siebie. Nikt się nie skarżył, że coś pokręciłem.

M.W. Pańska misja stała się znana dlatego, że wywiózł pan z Polski informacje o eksterminacji Żydów.

J.K. Inicjatywa nie wyszła ode mnie. Na drugim spotkaniu z Ratajskim w pewnym momencie on mówi: – Witold, mam taką sprawę, są tu dwie żydowskie organizacje podziemne, które się zwalczają. Jedni to nacjonaliści i nazywają się syjonistami, a drudzy to socjaliści i nazywają się bundowcami. Kiedy dowiedzieli się, że pan jedzie, zwrócili się do mnie, obie te organizacje, i mówią mi: są Polakami i mają prawo użycia kuriera na takich samych warunkach, na jakich go używają inne partie polityczne. Chcą się z panem skontaktować, żeby pan przerzucił ich polecenia. Nie wiem, jakie są pana przekonania polityczne, nie wiem, co oni od pana chcą, i nie chcę tego wiedzieć, tylko pytam, czy pan się tego podejmie. I pamiętam – Ratajski był szlachetny, chociaż miał opinię endeka – powiedział: – Witold, wie pan, mnie się wydaje, że powinniśmy to zrobić. Odpowiedziałem: naturalnie.

M.W. Kto był pierwszym pana rozmówcą?

J.K. Dwóch ludzi. Przedstawili się. Jeden był syjonistą, drugi z Bundu³. Nie mówiliśmy o nazwiskach. Podkreślili, że należą do różniących się organizacji, ale razem postanowili ze mną rozmawiać, żeby pokazać, że to, co mi przekażą, pochodzi od całego środowiska żydowskiego. To są żądania, prośby, skargi całego środowiska żydowskiego. I zaczęli mówić. Zapytali najpierw, czy wiem, co się dzieje z Żydami. Powiedziałem, że wiem, że dzieją się straszne rzeczy. Oni na to: – Środowiska żydowskie nie zdają sobie z tego sprawy. Nadszedł koniec wszystkich Żydów

³ Jan Karski spotkał się z przedstawicielem syjonistów Menachenem Kirszenbaumem i przedstawicielem Bundu Leonem Feinerem.

europęjskich. Żydzi o tym nie wiedzą. My, przywódcy, wiemy. To było po konferencji w Wannsee, która była w styczniu 1942 roku, a ja z nimi rozmawiałem w październiku. Widocznie już doszły do nich jakieś pogłoski.

I dalej:

– Hitler postanowił wymordować wszystkich Żydów w całej Europie. To jest koniec. Polacy mają straty, Polacy cierpią... Witold – to mówił ten socjalista – wszyscy cierpimy, tylko jest różnica. Wojna się skończy, Hitler zostanie pokonany, twój naród wyłoni się z wojny, a Żydów nie będzie. Taka jest różnica między nami: nas wymordują. Wszystkich. Polskie podziemie jest bezsilne. Przecież wy sami jesteście prześladowani. Polskie podziemie może ratować jednostki. Ratują za mało, ale niektórzy robią to, co mogą. My wiemy, że sporo Żydów, wybitnych intelektualistów, ukrywa się w majątkach u polskich rodzin. Wiem o tym, ale to jest zagłada całego żydostwa w Polsce i w Europie. Przecież Polacy nie mogą zahamować zagłady. Na to są za słabi. Jedynie wielkie mocarstwa alianckie mogą to zrobić.

Rozmawialiśmy w willi pod Warszawą, okna były zasłonięte szmatami, bo szyby były wybite. Zimno jak cholera. No i ci dwaj Żydzi podenerwowani, rozhisteryzowani... Szczególnie ten syjonista. Socjalista był bardziej opanowany. Miał rumianą twarz, prosty nos, siwiejące wąsy zakręcone do góry, takim szwedzkim siedemnastowiecznym zwyczajem. Wyglądał na szlachcica. Chwalił się, że zna Anglię, że dużo podróżował. Dawał mi rady, jak się zachowywać. Ten drugi był niepozorny, histeryczny, w pewnym momencie zaczął płakać: nic nie ma sensu, on już tego nie może wytrzymać. Powie Niemcom, kim jest, i niech to się wszystko skończy. Bundowiec mówi: uspokój się, uspokój... To była okropna rozmowa.

Pierwsze ich żądanie: niech alianci ogłoszą publicznie oficjalną deklarację, że powstrzymanie zagłady Żydów wchodzi do ich strategii wojennej. Może Hitler się zreflektuje, może się przestraszy. To ich nic nie będzie kosztowało... Niech zaleją Niemcy milionami ulotek.

– Zawiezie pan wiadomości. Nazwiska, statystyki, co oni z nami tutaj robią. Pójdzie pan, ale w tajemnicy – nie powie pan o tym ani Zygielbojmowi (w Londynie reprezentował bundowców), ani Schwarzbartowi

Nr. 122/21/283.

L'Ambassade de Pologne a l'honneur de porter à la connaissance de la Secrétairerie d'Etat de Sa Sainteté les informations suivantes, provenant de source autorisée: -

Les Allemands suppriment en Pologne le total de populations juives. Ce sont d'abord les vieillards, les infirmes, les femmes et les enfants qui sont emmenés, ce qui est une preuve qu'il ne s'agit pas de déportation pour les travaux, et ce qui confirme les informations, selon lesquelles les déportés sont mis à mort par différents procédés, dans des lieux spécialement préparés à cette fin. Les hommes jeunes et valides sont souvent forcés à des travaux afin de les faire mourir de surmenage et de sous-alimentation.

Quant au nombre de Juifs de Pologne exterminés par les Allemands, on estime qu'il a dépassé un million. - A Varsovie seulement il y avait, dans le Ghetto, environ 400.000 Juifs vers la moitié de juillet 1942; au cours des mois de juillet et d'août on emmena, vers l'Est, 250.000; le 1 septembre on ne distribua, dans ce Ghetto, que 120.000 cartes alimentaires, et le 1 octobre 40.000 cartes. La "liquidation" précède du même pas dans les autres villes de la Pologne.-

L'Ambassade de Pologne saisit cette occasion pour présenter à la Secrétairerie d'Etat de Sa Sainteté ses assurances de sa très haute considération.

Vatican, le 19 Décembre 1942.

la Secrétairerie d'Etat
de Sa Sainteté

List polskiego ambasadora Kazimierza Papee do watykańskiego Sekretarza Stanu napisany po rozmowie Karskiego z prezydentem Raczkiewiczem w sprawie niemieckich zbrodni przeciwko Żydom w Polsce 19 grudnia 1942

Nr 122/SA/283.

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej ma zaszczyt podać do wiadomości Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej następujące informacje pochodzące z wiarygodnego źródła:

Niemcy eliminują całość populacji żydowskiej w Polsce. W pierwszej kolejności zabierani są starcy, chorzy, kobiety i dzieci, co stanowi dowód, że nie chodzi o deportacje na roboty przymusowe i co potwierdza informacje, według których deportowani są uśmierceni różnymi metodami w miejscach przeznaczonych specjalnie do tego celu. Młodzi i sprawni mężczyźni są często zmuszani do robót, aby w końcu umrzeć z przemęczenia i niedożywienia.

Jeśli chodzi o liczbę polskich Żydów wymordowanych przez Niemców, szacuje się, że przekroczyła już milion. W samej Warszawie w połowie lipca 1942 roku znajdowało się w getcie około 400 tysięcy Żydów; w lipcu i w sierpniu wywieziono na wschód 250 tysięcy; 1 września wydano w tym getcie jedynie 120 tysięcy kart żywnościowych, a 1 października 40 tysięcy. Likwidacja [!] przebiega w ten sam sposób w innych polskich miastach.

Korzystając z tej okazji, Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej pragnie zapewnić Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej o swoim najwyższym uznaniu.

Watykan, 19 grudnia 1942

Do Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej
w Pałacu Watykańskim

(reprezentował syjonistów) – do prezydenta Polski Raczkiewicza. To jest polecenie do niego, nie do środowiska żydowskiego, bo oni skomplikują sprawę, nie znają się na dyplomacji. Jest prośba o zwrócenie się do papieża. Pan powie prezydentowi, że my go błagamy, niech on się zwróci osobiście, jako głowa państwa, do głowy państwa watykańskiego, z prośbą o interwencję. O tym pan Żydom nie powie. Oni z tego zrobią awanturę i skomplikują całą sprawę. Potrzebujemy pieniędzy. Dużo Żydów się ukrywa, dużo rodzin polskich zgadza się, mimo niebezpieczeństwa, opiekować rodzinami żydowskimi, ale im trzeba płacić. Oni sami są głodni... Niektórzy Żydzi mają pieniądze, ale większość nie ma żadnych. Potrzebujemy na to pieniędzy – w twardych walutach, w dolarach, w funtach szterlingach, a jeszcze lepiej w złocie.

Takie polecenia miałem przekazać w Londynie.

– Społeczeństwo polskie rozumie naszą tragedię, sympatyzuje z nami, ale powie pan generałowi, że wielu Polaków denuncjuje, rabuje, wydaje gestapo, szantażuje albo morduje ukrywających się Żydów. Trzeba coś z tym zrobić. My sugerujemy, żeby generał upoważnił kierownictwo walki cywilnej do ogłaszania nazwisk tych ludzi w prasie podziemnej. Jeżeli to nie pomoże, żeby upoważnił sądy podziemne do wydawania wyroków śmierci. Jeżeli takie wyroki zostaną wydane, nazwiska tych, którzy zostaną straceni, też powinny być ogłaszane w prasie podziemnej. Czy pan to powie?

– Powiem.

I powiedziałem to Sikorskiemu i Kotowi.

Drugie zadanie: – Wiemy o tym, że młode pokolenie w getcie warszawskim myśli, jak stawić opór, jak zademonstrować. Nie po to, żeby się ratować, tylko żeby pokazać światu, że nie chcą umierać bez walki. Oni potrzebują broni, my broni nie mamy. Zwrócili się do komendanta Armii Krajowej o broń. Odmówił im. Witold, powie pan generałowi Sikorskiemu, który jest wodzem naczelnym i przełożonym komendanta Armii Krajowej: Żydzi w getcie to Polacy, to obywatele Polski, oni żądają, oni chcą broni, żeby walczyć ze wspólnym wrogiem. To, że ich walka nie okaże się skuteczną, to jest ich rzecz. Jeżeli jest broń dla Armii Krajowej, to wydaje się, że oni też mają prawo jej się domagać, by walczyć ze wspólnym naszym wrogiem. Powie pan: „Niech generał zmieni stanowisko komendanta Armii Krajowej w tej sprawie”.

Odpowiedziałem:

– Panowie, nie mogę tego zrobić. Jestem żołnierzem Armii Krajowej, komendant jest moim najwyższym przełożonym. Nie mogę za jego plecami meldować wodzowi naczelnemu skargi na niego, denuncjować go. Chyba że mnie panowie upoważnią, żebym zabiegał o spotkanie z komendantem i powtórzył to, co panowie mi w tej chwili powiedzieli. Zapytam Roweckiego, jaką ma na to odpowiedź, i generałowi Sikorskiemu zamelduję to, co panowie chcą, oraz jego odpowiedź.

Zawahali się, ale powiedzieli: nie mamy nic przeciwko temu.

Dotarłem do Roweckiego i opowiedziałem mu o tej rozmowie. Jego reakcja: pochwalił mnie za moją lojalność, ale zdziwił się, że Żydzi, których zna i jest z nimi w kontakcie, za jego plecami chcieli mnie obarczyć taką misją. Potwierdził to, co mi powiedzieli – to prawda, że Żydzi z getta zwrócili się do niego o broń. Powiedział – powtarzam słowo w słowo: – Coś im dałem, ale mało. Muszę dawać broń powiatowym komendantom Armii Krajowej. Partyzantom. Oddziałom leśnym. Wszyscy chcą broni. Doszło do tego, że damę moim ludziom pieniądze, dolary, żeby kupowali broń na czarnym rynku. Żydzi mogą robić to samo. Poza tym cała moja strategia jest taka: walcząc z wrogiem w codziennej dywersji, mam zachować jak największe rezerwy w ludziach i w broni. I jak przyjdzie odpowiedni moment, wbić nóż w plecy Wehrmachtowi. Jestem karnym żołnierzem, jeżeli naczelny wyda mi rozkaz, żebym z tych moich rezerw dał broń dla getta warszawskiego, zrobię to. Ale muszę dostać dokładny rozkaz: co mam dać i ile mam dać. Generał wie, jak mało mam broni.

Po tej rozmowie on tak troszeczkę ostygł w sympatii do mnie. Powiedział wtedy coś, czego się nie wstydzę ani nie krępuję dziś powtórzyć:

– Proszę pana, z kimkolwiek pan będzie rozmawiał, czy to w Polsce, czy za granicą, musi pan pamiętać, że pan nie jest moim wysłannikiem. Pan nie ma żadnej misji od Armii Krajowej. Pan jest emisariuszem politycznym. Ja się nie chcę wtrącać do spraw politycznych. Nie wolno panu stwarzać pozorów, że pan reprezentuje moją organizację. Ja mam swoich ludzi, których wysyłam.

Dotknęło mnie to, ale powiedziałem tylko:

– Tak jest, panie generale.



Ulica warszawskiego getta, 1942 rok